

Przedmowa

Czego żąda człowiek pracy

Przeżyłem okupację, ale czy przeżyję biurokrację?
Wielu szanownych panów, dla czego czasu?
Przeżyłem z „tamtej strony”, jak się zwykło mówić o straszliwej okupacji, i oczywiście ustąpiłem z powrotem do swego biura, do swego przedwojennego zawodu. Wydział personalny mojej instytucji zażądał od mnie karek wymiennych, na podstawie których mógłbym otrzymać karty żywnościowe.

I tu dopiero zaczął się kołowyrotek. Ponieważ zamieszkałem we Włocławku, więc w tamtejszym magistracie dowiedziałem się, że aby otrzymać karty wymienne, muszę być zameldowany. Żeby się zameldować muszę złożyć podanie do Komisji Mieszkaniowej, która na specjalnym posiedzeniu wyda mi pozwolenie zameldowania się we Włocławku. Dla żony, potrzebna jest metryka ślubu...

Niestety, parafia, w której braliśmy ślub, w roku 1944 spłonęła. Trzeba więc zaświadczanie o tym złożyć w Sądzie Grodzkim Oddział I na Lesznie (6 piętro) wraz z wszelkimi dokumentami i danymi osobistymi, z podaniem w 2 egzemplarzach. Dwa świadków oczywiście nieodzownych.

Kiedy mogę się spodziewać załatwienia tego podania? — Zapytuję delikatnie żonatowca, który sobie ile to i jakich papierków muszę przedłożyć. — Nie przedaj, jak za półtora miesiąca — pada szczerą odpowiedź.

Ponieważ bez zrekonstruowania aktu ślubu nie mogę zameldować żony, a więc nie mam na co liczyć na jej kartę żywnościową, przedaj, jak za dwa półtora miesiąca.

Ala — tylko w opowieści sprawa wygląda tak krótko. Ile trzeba się naćkać w ogonkach, ile trzeba się napodrobiać od urzędu do urzędu, żeby dojść do tych informacji, które urzędy podają. Ile razy trzeba się zwinąć z biura — to wie tylko ten, kto już przede mną odbył taką drogę.

A na dokładkę dowiedziałem się najprzejawniejszą rzeczą: Pańska żona nie jest zameldowana, więc nie możemy jej uważać za lokatora tego mieszkania — oświadczył mi kontroler mieszkaniowy we Włocławku. — Musimy pana kogoś dokwaterować...

Wystarczy? Tak wygląda życie codzienne człowieka pracy. Po pierwsze nikt nie szanuje jego czasu, jak gdyby ten czas był w dzisiejszych warunkach czymś bezwartościowym. Po drugie — na każdym kroku uważa się, że jest to skończony oszust, któremu w najmniejszym nawet dodatku nie można wierzyć bez świadków, zaświadczeń, papierków, zezwoleń, dokumentów...

Niech mnie nikt nie przekonywa, że tak być musi. Czas człowieka pracującego musi być dziś inaczej liczony, niż przed wojną, kiedy na wszystko można było czas znaleźć, a biurokratyzowanie życia codziennego musi się skończyć, zanim szerokie masy rozgorączkują się tak, że już tego zasadniczą, gruntowną reformę załatwić nie będzie można.

W dni powszednie „WIECZÓR”

ukazuje się oddzielnie OD „ŻYCIA WARSZAWY” we wtorkowych godzinach popołudniowych przynosząc OSTATNIE WIADOMOŚCI ze świata, kraju i stolicy

notatnik wawerszawski

SPOTKANIE DWÓCH POCIĄGÓW

DO Polski przybyło 435 repatriantów, żydów polskich z Palestyny. Uciekli oni stamtąd, przed prześladowaniem Anglików i Arabów.

Repatrianci opowiadają, że w drodze, w Czechosłowacji, zetknęli się z transportem Żydów z Polski, jadących do Palestyny, którzy swój wyjazd motywowali rzekomymi prześladowaniami w Polsce, tak wielkimi, że muszą się uciekać do Palestyny.

Żydowskie repatrianci podkreślają, że w Polsce jest dużo lepiej, przede wszystkim znacznie bezpieczniej niż w Palestynie.

ZŁOTO

SPRZYMIERZENI, po zwycięstwie, weszli w posiadanie 270 ton złota niemieckiego. Złoto to, będzie dzielone pomiędzy państwa szczególnie dotknięte wojną i te, których rezerwy złota zostały zabrane przez Niemców. Prawdopodobnie poważna ilość złota zdobycy zawędruje do Anglii.

Mamy nadzieję, że gdy Anglia otrzyma niemieckie złoto, to może nareszcie zdecydować się zwrócić nam, bezprawnie dotychczas zatrzymane, 3 miliony funtów szterlingów w złocie, zapas kruszczy Banku Polskiego wywieziony po wybuchu wojny za granicę i z całą ufnością, złożony na przechowanie u przyjaciół Anglików.

KOMISARZ OSZCZĘDNOŚCI

MINISTERSTWO Aprowizacji i Handlu zdecydowało się ustanowić specjalnego komisarsza oszczędnościowego, którego zadaniem będzie możliwie jaknajwiększa oszczędność w gospodarowaniu produktami żywnościowymi i zapobieganiu marnotrawstwu.

Marnotrawstwo środków żywnościowych jest u nas bardzo rozpowszechnione. Ze stołów restauracji i stołówek schodzą dziennie u nas dziesiątki ton pokruszonego chleba. Cukru przy przyrządzeniu używa się z reguły tyle, że zostaje później w szklance. Masło i tłuszcz marnują się niepotrzebnie przez podawanie zatłustych potraw. Oszczędności tutaj dałyby dostawie miliardy złotych.

Z LOTNIKA — GÓRNIKIEM

ALLAN Shipwright był podczas II wojny oficerem angielskiego lotnictwa. Wyroził się na tyle, że przełożeni mianowali go dowódcą eskadry. Nie wiele to jednak pomogło w okresie demobilizacji. Przed rokiem musiał pójść do cywila i szukać innego pokojowego zajęcia. Wszystkie jego starania nie przyniosły rezultatu i dzielnego oficer RAF-u został górnikiem.

Jak twierdzi uzyskanie tego stanowiska nie było się bez trudności. Ponieważ ma lat 49, musiał udawać 36-letniego, co mu się powiodło z uwagi na rzeczywiste młodzieńczy wygląd. Wypełnia dobrze swoje nowe obowiązki i mógł się już przynależnie dożalić dla siebie do swego prawdziwego wieku. O pracy w kopalni wyraża się z entuzjazmem i oświadcza, że daje mu ona pełne zadowolenie.

W POWOJENNEJ AUSTRII

AUSTRIA otrzymała niepodległość! Wojska sprzymierzone sprawują tam jedynie nadzór nad administracją, spoczywającą w rękach demokratów austriackich. Z tą demokracją to jednak jest trochę gorzej, w całej Austrii znaleziono zaledwie 8.500 przestępców wojennych, z czego

tylko 10 skazano na śmierć. Całe tabuny hitlerowców znajdują się na wolnej stopie i żyją w spokoju, dzięki oszczędnościom, uzyskanym w ciągu sześciu lat wojny.

PROFESOROWIE SWASTYKI

SZKOLNICTWO wyższe jest prawie całkowicie opanowane przez elementy hitlerowskie. Profesorowie nadal z katedry wykładają o „Wielkich Niemcach” o „potrzebie „Lebensraum” dla III Rzeszy, i krytykują zwycięzców, a przede wszystkim ZSRR. W katedrach „Mein Kampf” i „Mit III Rzeszy” Rosenberg są nadal w wolnej sprzedaży w dowolnych ilościach. Nic dziwnego więc, że studenci podzwaniają się podniesieniem ręki ze słowami: „Heil Hitler”, a na tablicach zamiast zadań, wypisuje się: „Słuchajcie tajnej radiostacji Hackenkreutz”.

PROWOKACJA

NIE kończy się jednak tylko na ulotkach i pozdrowieniach. W Grazu dokonano napadu na radziecką delegację Związku Zawodowców. W Innsbrucku wykryto skład broni. Około miasta St. Poelten grupa hitlerowców przebrań w mundury radzieckie otworzyła ogień na pociąg amerykański. Gdyby nie natychmiastowe schwytanie sprawców prowokacja ta mogłaby mieć bardzo poważne skutki.

NIE MAJĄ CZASU

SOJUSZNICZE władze wojskowe zainterpelowały urzędników austriackich domagając się energicznego wystąpienia przeciwko hitlerowcom. Otrzymały bardzo grzeczna odpowiedź, że wprawdzie jest to smutne, ale władze austriackie mają obecnie „ważniejsze zadania, niż tropienie nazistów”.

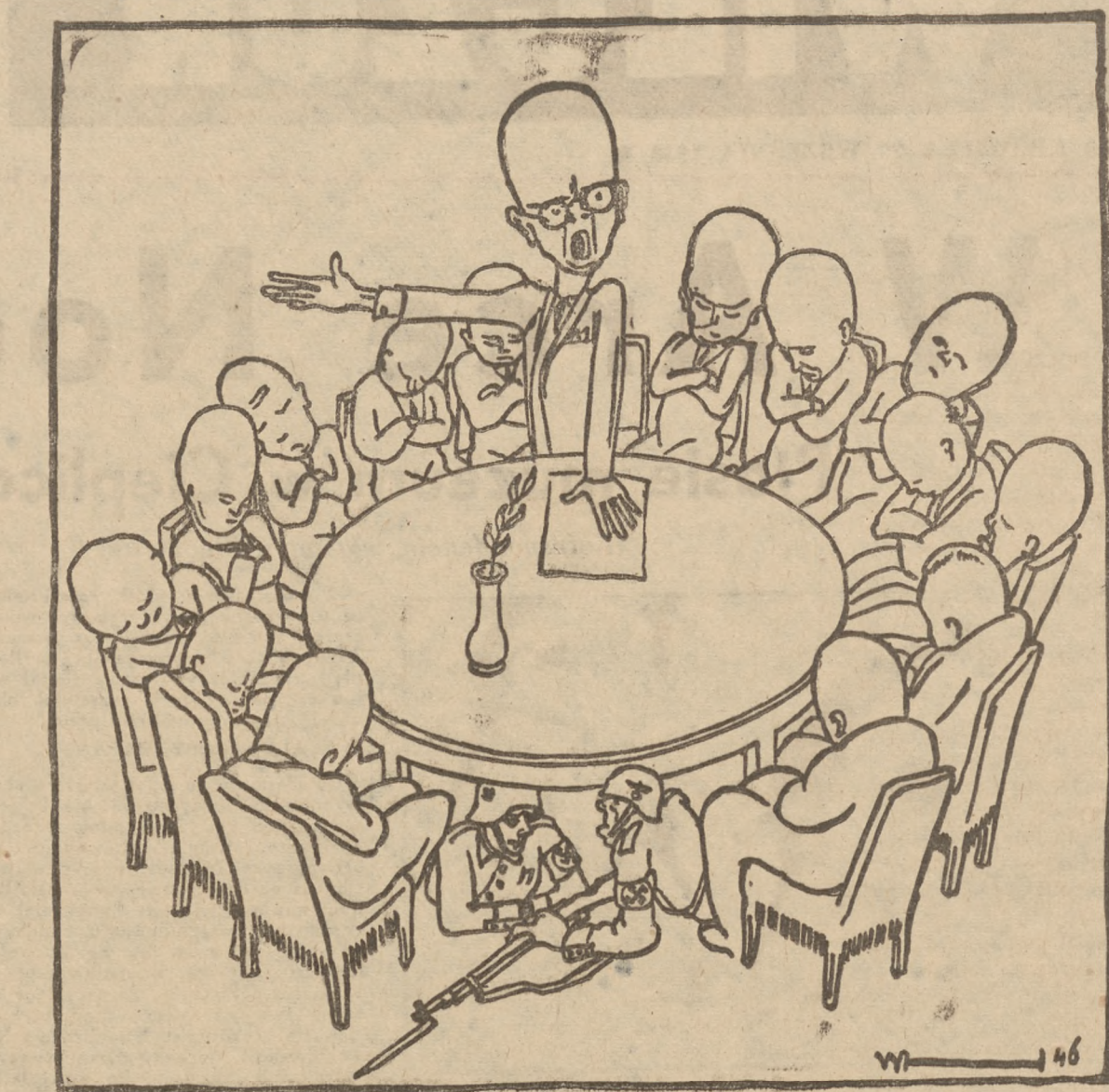
Tak się buduje nowa Austria. Trzeba uważać, żeby ta budowa nie miała nasobnie znaku swastyki, bo inaczej cała historia ubiegłych 10-ciu lat powtórzy się po raz drugi.

SPODNIE ZA CENĘ 8 SZYLINGÓW I 9 LAT WIEZIENIA

SAM Hawkins dzielnym robotnikiem z Liverpoolu przed 25 laty odczuł potrzebę zakupienia pary spodni. Prosił o zapotrzebowanie pociągające po jego zaspokojeniu nieszczęsne doniosło skutki tak dla samego pana Sama, jak i w pewnej części dla sklepu konfekcyjnego, który ową „niewypowiedzialność” odsprowadził.

Spodnie kosztowały 8 szylingów i nie musiały być najlepszym gatunkiem, jeżeli po włożeniu rozpuły się w najbardziej nieprzewidywalny sposób na zupełnie tak samo nieprzewidywalnym miejscu. Jak to bywa w takich wypadkach, właściciel tej części garderoby dowiedział się o jej defekcie ostatni, gdy widział się śmiać odciechało.

Mozna sobie wyobrazić teraz gniew p. Sama Hawkinsa. Nie wiele się namyslał, schwytał parę kamieni, nadawał nimi kleszenie nieszczęsnych spodni i w drodze przeproszenia reklamował wybitnie wszystkie zalety wystawowe dostawcom. Ponieważ angielskie kodeks karny nie przewiduje takiego załatwienia sprawy. Sam został skazany na miesiąc aresztu celem podreperowania samotności nerwów, nadwątłych spodni.



Nim oni skończą — my zaczęliśmy

Po wyjściu z więzienia Sam doszedł do przekonania, że jednorazowe wybić szyb nie wyrównało jego rachunku ze sklepem. Zakreślał więc do kleszeni nowy ładunek kamieni i powtórzył operację. Tym razem siedział w peruce okazał się bardziej surowy i skazał, cierpiącego na uraz spodniowy Sama na pół roku więzienia.

Ile czasu upływało między jedną karą więzienia, jej odsiedzeniem i następnym biłem szyb nie wiemy. Angielskie pismo „Daily Mirror” podaje sumarycznie, że w ciągu 25 lat od chwili zakupu spodni za 8 szylingów Sam Hawkins przesiedział się 9 lat w więzieniu łącznie i zakończył właśnie karę 4 lat, która miała go ostatecznie wyleczyć z nienawiści do sklepu, którego nazwę i adres pismo dyskretnie przemilcza.

Niesety, i te cztery lata spędzone w samotności nie zmieniły upartej w swej nienawiści Sama. W niedługim czasie po opuszczeniu więzienia zapakował w piękny brązowy papier dwie cegły i udał się z nimi do Birmingham do tamtejszej filii tego samego przedsiębiorstwa. Jak należy przypuszczać użytek z tych cegieł był i tym razem równie głośny jak skuteczny. Wielkie szybę wystawowe wyleciały z

trząskiem i Sam znalazł się przed obliczem sędziego.

Tym razem Sam nie został skazany na lat sześć czy osiem, jakby wynikało z dotychczasowej progresji, tylko raptem na dwa. Zapowiedział jednak apację i oświadczył, że gotów jest wszystko zapomnieć i wszystko przebaczyć ale nie może pogodzić się z tym, że owe rozdarte spodnie wywołały u niego chroniczny bronchit.

Dodać jeszcze trzeba dla zaokrąglenia sylwetki Sama Hawkinsa, że liczy on sobie obecnie lat 63 i najwyraźniej jest zdrowszy na umyśle, w co naszym zdaniem, nie należy zbytbyli wierzyć.

ZŁE POWIEŚCI ANGLIJSKIE

ODZIENIE 4,2 nowych powieści ukazuje się na półkach księgarń angielskich. Jest to ilość ogromna, jeśli się zważy że w roku 1945 ukazało się ogółem 6000 nowych publikacji. W Anglii jest teraz o wiele więcej papieru i dzienniki od paru dni nie mają ograniczonego nakładu i obfetości.

Postęp jest jednak tylko iluzoryczny. Felietonista „News Chronicle” Stefan Potter skarży się, dlaczego w tym kraju pisarzy, który wydał Defoe, Dickens i Wellsa, najgorzej z publikacji są własne powieści. Skarży się on też na to,

że te złe powieści, mają, i tak wielkie nakłady, że warto je wydawać.

WIELKIE NAKŁADY

Nie tylko powieści są złe w Anglii. Dzienniki też nie są zbyt wybredne w doborze wiadomości. A jednak nakłady są jeszcze bardziej imponujące, niż nakłady powieści. Według oceny hr. Camrose, wielkiego wydawcy konserwatywnego pisma Daily Telegraph, który za zasługi w dziennikarstwie otrzymał tytuł hrabiego, nakłady pism w dniu 23 września br. wynosiły: tygodnik „Wiadomości ze świata” 6 milionów egzemplarzy, tygodnik „People” 4 i pół miliona, sensacyjny dziennik „Daily Mirror” 2.400.000, organ Partii Pracy „Daily Herald” 2.150.000, organ konserwatystów „Daily Mail” 2 miliony, zato najpoważniejszy dziennik angielski, o którym zapewne nie można powiedzieć, że jest złym piśmem „The Times” at 229.000.

U DENTYSTY

ZENERWOWANY dentysta robi gorzkie wyrzuty swojemu pacjentowi. „Jeszcze nie miałem takiego grymasnego pacjenta jak pan. Już czwar tyż panu wyrwam, a pan ciągle krzyczy, że to nie ten”.

Żeby mogli spać jedni — muszą czuwać drudzy 24 godziny milicjantów

Nie zawsze i nie wszyscy dostrzegamy ich, oni za to muszą widzieć wszystko. W dzień są czasem nieprzejrzalni, kiedy rozpadają się han dary albo ścigają nas ze stopni przełoczonego tramwaju. Za to jakże głośnie myślimy o nich w nocy, szczególnie gdy mieszkamy w ciemnych zaułkach, gdzie w każdej bramie czy ha niebezpieczeństwo.

Żeby mogli spać jedni, muszą czuwać drudzy. Trud milicjanta rozpoznaje się dopiero wówczas, gdy ludzkie głośnie zbiegają się u światła swych mieszkań, a ludzie pajaki wychodzą na żer.

Pierwszy obchód

Po odprawie w komisariacie patrol rusza na pierwszy obchód. Targowa Żabkowska, Radzymińska. Właściwie nie ma jeszcze po co chodzić. O godzinie 8 wieczór ulice się roją — miasto jest wesołe, roześniane i swawolne. Teraz można chyba tylko po raz setny tego dnia porzucić handlarzy ulicznych a czasem narkę przypadkiem niewinną z pozoru kawiarankę, w której sprzedają nielegalnie bimber.

Targowa, Żabkowska, Radzymińska, a potem do komisariatu. Boczny ciemnymi uliczkami. Przed bramami stoją gromadki ludzi. Słychać śmiechy, a czasem soczyste przekleństwa.

Wieczne starcia

Tymczasem w komisariacie rozpoczyna się już zwykły młyn. Bo oto jakaś parka wrzeszczy coś wniebogłosy o bezprawny zabrany klucz. Dyżurny przewodnik, milczy jak sfinks, mądry jak Salomon, słucha. Potem proponuje zgodę, a gdy to nie

skutkuje odpoczynek na dole w celi. To wystarcza. Sublokator i gospodyni maszeruje do domu w najlepszej zgodzie.

Potem przeprowadzają jakąś córę Koryntu, a z kolei trzech bardzo młodych ale i bardzo pijanych młodzieńców. Ich rachunek w restauracji wyniósł 2.000 zł. Przy podziale tej sumy pobili się i w efekcie trafili do komisariatu, gdzie okazało się że nie mają akurat pieniędzy. Wędrują więc na dół — do celi.

Zwykły komplet celi

A tam już pokutują wcześniejsze paskizmy. W kobiecej chrapie, jakiś zwinia w kłębek przepiórkę. Jedyną ulniczką kłóci się z umalowaną blondynką w luksusowym niebieskim szlafroku. Skąd się tu wzięła Drobniak — to po prostu szantazystka, która pod pozorem rzekomych interwencji wyłudzała od naiwnych pieniądze.

W celi męskiej nieś nadzwyczajne go. Paru pijaków, paru jak zwykle „niewinnych” złodziejasków i kilku brudasów. Do kompletu. W kacie jakiś młodzieniec o wyglądzie podupadłego inteligenta i febrycznie pływających oczach. Wygląda na narkomana, a tymczasem to znany specjalista od gry w „trzy kary”.

Nie nadzwyczajnego — zwykły komplet.

Strzelanina

Na górze u dyżurnego robi się za to coraz głośnie. Najwięcej naturalnie hałasują prostytutki. Wywadowca przeprowadza 12-letnią dziewczynkę, która koło przystanku wciągnęła jakimś jegomościowi portfel z kieszni. Potem zjawiają się pierwsi awanturnicy. Nic dziwnego. Zbliża się już godzina 11-ta. Trzeba znów wyjść na patrol.

Zdyszany milicjant przynosi melon, jednocześnie z alarmem telefon. U zbiegu ulic Targowej i Wileńskiej strzelanina. Zda się, że są ranni, może nawet i zabici. Teraz trzeba podzielić komisariatem nie

przysięgłemu niestety samochodowi. Całe szczęście, że blisko.

Po dwóch minutach jesteśmy na miejscu. Jakis mężczyzna charcze w kakuży krwi, dręgi zupełnie pijany wymachuje w naszą stronę rewolwrem.

Nie ma chwili czasu do stracenia. Jedni obezwładniają mordercę, drudzy zatrzymują jakieś auto i przewożą rannego do szpitala. Najważniejsza rzecz to ratować życie ludzkie.

O północy.

Jakże inaczej wygląda teraz ulice. Samotne latarnie oświetlają mokre płyty chodnika, gdzieniedzie kołyszą się jakiś pijak, gesta mgła otula zaułki i bramy domów. A te właśnie nie należy strasznie przegadzać. Trzeba też sprawdzić okienknie i żaluzje sklepów. Teraz bowiem właśnie przy stępują do pracy włamywacze.

Z jednej z bocznych uliczek dochodzi odgłos strzałów. Nie bardzo to przyjemnie leż w ciemności pomiędzy gruzami. Ale trzeba — może to chodzi o życie ludzkie. Nigdzie jednak nikogo nie ma, tylko zbłąkany pies wylewa smutno, a na te opuszczone rolety jakiegoś okna chwieja się dziwaczne cienie dwóch dyskutujących ludzi.

W spełnieniu

Pierwsza, pierwsza trzydziści, druga, trzecia, znowu wymarsz na miasto. Tylko teraz z milicjantami idą również i wywiadowcy. Trzeba prze trząsnąć meliny i sprawdzić, gdzie jakie ptaszki nocują.

W piwnicy jednej z odpranych kamienic ul. Targowej, ruch jak w miynie. Siedząca nad kuchnięm bimberem opryskli spoglądają na nas ponuro. Niechętnie okazują dokumenty i burkliwe odpowiadają. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Kierownik komórk śledczej nie spie szy się jednak z wyjściem. Wprawnymi palcami obmacuje piec i — o dziwo — lekko wyjmując jeden kafelek. Ukazuje się pyszna skrytka dziś nieszczęśliwy.

Dobre rady pani Zofii

Moja żona jest mi obca...

Wzrost płaszy

„...po latach młot i obowu wróciłem. Do czego, do kogo? Nie mam co wymieniać. Domek mój, który budowałem z miłością i z oddaniem sobie wzięły rzeczy, nie istnieje, matka nie żyje, żona? Tak, żona jest, ale to nie ta sama kobieta, którą znałem i kochałem. To zupełnie ktoś inny. Nie zastarzała się, nie zbrzydła...”

Nie, to nie o to chodzi. Owszem, wypiękiała. Zrobiła się bardziej elegancka, bardziej efektowna. Ale w tej elegancji, efektowności kobiecie nie ma mojej dawnej, kochanej Anny. To zupełnie ktoś inny, kto jest podobny do tamtej dawnej, która nosi moje nazwisko i tamtej dawnej miłości, i nie pozostaje. Moja obecna, „dona” to człowiek interesu, zarabiaczka, dużo więcej, niż ja, mający swoje własne sprawy, swoich znajomych, których przyjmuję, swoje kłopoty, których mi oszczędza i radości, w których brać udziału nie mogę.

Przyjeżdża mnie miło, niecierpię się, powitała, wprowadzała w grono osób, które wówczas przyjmowała. Ale już wtedy po czułem obcość. I tak zostało do dziś. Trzymam mnie na odległość, która nie zmniejsza się o jote, choć jesteśmy już z sobą parę miesięcy.

Wróciłem z katedry. Nie mam lewej dłoni. Straciłem ją w 36 roku. Żona wiedziała o tym z listu. To moje całkowite oświeślenie małe w stosunku do niej. Czuję się niegrzabny, czegoś winny wobec niej, takiej, dorodnej, eleganckiej, samodzielnego.

Przy ul. Żabkowskiej, na trzecim piętrze mieszczę się hotel, czy też pokojowe gościnnie. Powietrze obryzmiej, ciemnej izby, aż geste od zaduchu. Obrażeni ludzie wygłęd w dziwaczne pozycje chrapia we wszystkich tonacjach. Właściciel drżącymi rękami przedstawia dokumenty. Wszystko w porządku: tyle dokumentów — ile śpiących. Wywiadowców jednak interesuje zamknięty alikierzyk. Na nie tłumaczenia, że „ci państwo właśnie przed chwilą, że jeszcze nie zdążyli” i t. d. Trzeba i te drzwi otworzyć. Mężczyzna i kobieta. Grubo za wytworni na nocleg, jaki sobie wybrali, są kubek w kubek podobni do poszukiwanych od kilku tygodni fałszywcy. I ci wędrują do komisariatu.

Nie udało się

Ulice, podwórza i piętra. Znow podwórza i ulice. Wszędzie nędza, wszędzie brud i występek. Likwidujemy dwie bójki, paru nożowców wędruje do komisariatu. Wszystkie

moje Mam doskonałą protezę, ale to źlezmowanie i przymocowywanie ręki...

Tak to jest Pani Zofio, i nie wiem jak będzie dalej. Dzieci nie mamy i w tym stany rzeczy, mieć ich pewno nie będzie. Głównym nie był kłódką, musiał być. Bardziej przedsiębiorczy, bardziej mekka. Są momenty w których jakiś intonacja jej głosu (gdy mówi do mnie), jakiś uśmiech skierowany do mnie, przypomina mi ją przed latami. I wtedy, Panu ja, jak dawniej. Ale to są tylko chwile. Znow piękna, elegancka, dobrze ubrana kobieta paki papierosa, śmieje się, prowadzi rozmowę o interesach, ludziach, rzeczach, dalskich mi, nieznanych. Obca — najzupełniej obca.

Sądze, że jestem dla niej raczej uciążliwym obiektem, że lepiej jej było beze mnie, gdy posyłała mi paczki i krótkie listy. A ja widzi Pani, czuję się tak samotny, że lękam się odejść, by nie być samotnym jeszcze bardziej. A czuję, że powinienem. Tak jest Pani Zofio, i co na to poradzić?

Mój drogi Panie! W pierwszym moim liście do Czytelników pisałem, że najkrótsza droga od serca do serca, to bezpośrednia i szczera. Im bardziej się od niej oddalamy, tym bardziej komplikujemy sytuację. Żona Pana podczas pańskiej nieobecności musiała się usamodzielniać, musiała stworzyć „dom”, gdyż ten zbudowany przez Pana, zniknął z powierzchni ziemi. Musiała borykać się z trudnością, z brakami, musiała walczyć o swoje

miejsce na świecie i o to, by mieć czego żyć i za co posyłać Panu paczki do obozu. Obudał się w niej i rozwinął człowiek samodzielną, zaradczą, liczącą przede wszystkim na samego siebie.

To nie było takie łatwe, tak zmienił się, proszę Pana, na pewno kosiowało ją dużo. Warunki tutaj, w ciągu paru lat, gdy Pan był w obozie, były tak trudne fizycznie i psychicznie, że aby utrzymać się na poziomie trzeba nie wyzwać siły. Zmieniły się wtedy prawie wszystkie kobiety. Na nich spoczywała odpowiedzialność nie tylko za siebie, ale i za tych co byli w obozie. Gdyby nie paczki — Pan sam wie — jakby to było. Proste nie dla mnie — żona, to człowiek interesu, zarabiaczka dużo. Proszę być raczej dumny, że była taką zaradczą i dzielną. Takiej nie miał Pan — prawda? Może to jest ta główna obcość, która Pana kępi?

A może, gdyby Pan był bardziej przedsiębiorczy, bardziej mekka, (jak Pan pisze), może ta obcość zniknęłaby przed, kto wie. Brak dion, to nie powód do uczucia ośmieszenia. Stracił ja Pan dla chwalebnej, pięknej sprawy. To rodzi „Wirtut” Militar, które mówi za siebie bardziej, niż to przypieczęta na pierś. Kto wie, czy ta samodzielną, zaradczą, pewną siebie żona nie musiał sobie, że to Pan utrzymuje świadomie oddalona. Niektóre kobiety bardzo przedziśnierzają w interesach i pracy, w tej dziedzinie czekają na ineluctable owości, którego kochają.

Pisze Pan, czasem jednak intonacja jej głosu, gdy mówi do mnie, jakiś uśmiech skierowany ku mnie, przypomina mi ją dawną. Ale Pani! Czemu nie chwycić tej chwili, nie odpowiedzieć tą samą intonacją serdeczną głosu, nie odpowiedzieć na uśmiech — uśmiechem? Tych paru lat oddalania od siebie leży między nami, jak zaporą i przez odległość tych lat i przemian zasłanych w was przedrzeć się musieliście ku sobie. Może naprawdę czas ten odmielił nie tylko cechy charakteru waszych, ale i waszą miłość.

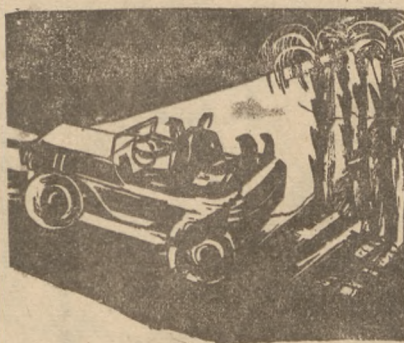
Ala trzeba spróbować, podesjść ku sobie tak, jakby ponad czasem, zmianami, i burzą dzielową, serce przetruci ku sercu dawniej, bliższemu mostu tęczowemu wszystkich wspólnych przeżyć. Stracił Pan w walce dion. Została Panu druga. Jeśli Pan teraz nie podejmie walki o serce żony, stracił Pan może nie dion, a szczęście. A może nawet nie trzeba walczyć? Może wystarczy bezpośrednio i szczerze dać jej usłyszeć, że Pan ją kocha, tak jak dawniej, to znaczy bardzo mocno i gorąco.

Alicja Fedorowicz

Co lud buduje w stowarzyszeniach swoich, to staje się dla niego źródłem korzyści materialnych i cywilizacyjnych, ale zarazem twierdzą jego swobód (Edward Abramowski)

Jeden policjant na 18 mieszkańców

(Korespondencja własna „Wieczoru”)



POLICYJNE WOZY

Po TEL AVIV oprowadzał mnie dwudziestoletni młody człowiek. Zapytałem go: — Czy zna pan terrorystów? — Uśmiechnął się. — Gdy się jest Żydem i gdy się mieszka w Tel Aviv trudno ich nie znać. — Chciałbym się z nimi spotkać. — Dobrze — odpowiedział. — Nazajutrz wsiadł do auta i pojechał. Była noc. Niebo wygwieżdżone, chłodniejszy powiew od morza kładł się na rozpaloną złość, mniemał kilka łazików wojskowych. — Co tu tyle wojskowych wozów się spotyka — zapytałem. — To policyjne — odpowiedział mój znajomy. — Widzi pan, w Anglii jeden policjant wypada na osiemset osób, tu jeden policjant wypada na osiemnastu mieszkańców. Co krok blokhausy, jakieś odrutowane budynki. Światła policyjnych reflektorów liżą nasze auto. — Te reflektory — powiedział mi mój znajomy — są na wieżach strażniczych, wieże strażnicze stoją odrutowane, a pomiędzy drutami są pozakładane miny. — Gdzie jedziemy? zapytałem. — Czy panu nie wszystko jedno? Było mi wszystko jedno. Po spiekocie dnia wiatr chłodził, noc była cicha. Przeszliśmy rozmawiać.

TAJEMNICZY PASAŻER

Staliśmy obok plantacji pomarańczy. Drzwiczki samochodu otworzyły się i wszedł trzeci pasażer. Auto znów ruszyło. — Chciał pan mówić z terrorystą — powiedział mój znajomy — oto Jakub... Nie widziałem dokładnie jego twarzy, wydawało mi się, że jest biały. Może to księżyc tak ublił jego twarz. Jakub zaczął mówić. Miał głęboki metaliczny głos. — Jest pan dziennikarzem z Polski? Proszę mnie pytać. — Jakże są cele organizacji terrorystycznych? — Pozwolić na wjazd do Palestyny Żydom. Czy nie uważa pan, że zwyciężyli się dostatecznie w Europie? — Zapewne — odpowiedziałem — ale czy nie uważa pan, że tu przez waszą działalność panują stosunki jak na froncie? — Bo to jest front — odpowiedział Jakub — poproście front. Walczymy o „być lub nie być” Żydów w Palestynie. Sprawdzamy Żydów poza kontyngentem emigracyjnym. Zwolniliśmy Ży-

dów, zamkniętych w obozie Atlith. Przeszli oni obozy koncentracyjne w Niemczech.

Jakub zapalił papierosa.

ARMIA TERRORU

Wolimy walczyć, niż lamentować przy Ścianie Placzu. Jesteśmy młodzi — Rekrutacja? — zapytałem. — Żydzi z Europy, walczący w rękach oporu przeciw Niemcom. Dezertjerzy z wojska angielskiego...

Uśmiechnął się. — Ochotników mamy dosyć. — A broń? zapytałem. — Rozesłałem się. — Przepraszam za niedyskretnie pytanie...

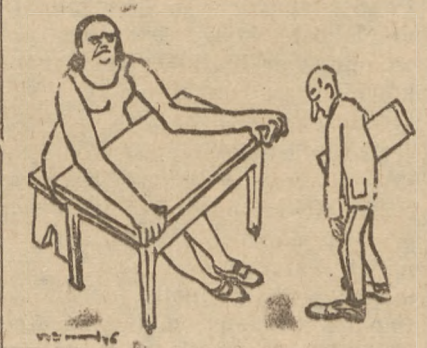
— Nie ma niedyskretnych pytań, by wają niedyskretnie odpowiedzieć. — Jakże są organizacje terrorystyczne?

— „Ruch oporu” — odpowiedział — trzysta sabotaży kolejowych w zeszłym tygodniu. Poza tym Irgun Zvai Leumi, organizacja o założeniach religijno-prawicowych. — Trochę, sui generis faszystów? — zapytałem. — Czy Polacy chcą mieć monopol na NSZ? — odciął się Jakub. — Na tym monopolu nam nie zależy. — Nam też nie. Ale Irgun Zvai Leumi istnieje i narazie robi swą robotę —

Z „ODBUDOWY”

Kalwaria architektów

Odwiedził naszą redakcję jeden z wziętych architektów. — Pomóżcie nam



„tam cię obijają”

powiada — bo ręce opadają. Dziś możliwość budowania otoczona jest takimi

Problemy

NOWY NUMER I

zawiera wśród wielu innych pracę p.

„Nowe oblicze geograficzne Polski”

Treść: Ziemia odzyskana a Polska. Kształt i granice Polski. Granice morskie. Dorzecza Wistły i Odry. Delta Wistły. Prusy Polskie, Nadodrza. Śląsk. Pomorze Zachodnie.

Autor: Maria Kielczewska dr. docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu, wicedyrektor Instytutu Zachodniego, autorka prac o osadnictwie w Wielkopolsce (1932) i na Pomorzu (1934), oraz książki „O rod etaw geograficzne Polski” (1946). W. 118-1

Po chwili rozmów się beztreścią uśmiechem młodego chłopca.

DEZERTERZY OD ANDERSA

— Wie pan, kto nami dowodzi? — Nie wiem. — Dezertjerzy od Andersa. Ale są i inni Żydzi polscy. Naprzykład — Stern. — Kto to jest? — Stał na czele grupy, mordującej specjalnie oficerów policji. — Mówi pan stał...? — Został zabity. Dlatego powiedziałem jego nazwisko. Kiedy dwa lata temu zamordowano lorda Moyne, wynano z głowę Sterna pięćset funtów nagrody.

Zapytałem o Haganak. — Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

Zabrzmiało coś jak pogarda.

Przewodzę oficjalnego sjonizmu nie mają łatwego życia: doły nie pozwalają im na ustępstwa wobec Anglii, Anglia nie pozwala na pracę normalną.

— Ach — odpowiedział Jakub — to nie są terrorysty. To wszystko jest regularne. Kiedy Rommel podchodził pod Aleksandrię, Haganak była formowana na prawach wojska alianckiego. Obecnie nawet Haganak jest nielegalna. Reprezentuje ona sjonizm oficjalny.

ZGODA Z ARABAMI?

Zapytałem. — Arabi? — Czy pan sądzi, że Arabi są na ty

le głupi, żeby nie wiedzieć, że po nas przyjdzie kolej i na nich? — Myśli pan, że Żydzi i Arabi mogliby się porozumieć? — Jeżeli nam nie będą przeszkadzać z zewnątrz — tak.

Jechaliśmy chwilę milcąc. — Czy to wszystko o co mnie pan chciał zapytać? — Myślę, że tak. Szczegóły waszej organizacji... Przerwał mi.

— Jeżeli pan nie chce słuchać kłamstw, proszę nie stawiać pytań. — Zrozumiałem.

Samochód zatrzymał się. Jakub wysiadł. — Ruszyliśmy szybko w stronę miasta.

Z prawa szumiało morze, palmy stały majestatycznie, nieruchome a na jakiejś grupie drzew pomarańczowych dłużej zatrzymał się reflektor policyjny.

Jeden policjant na osiemnastu mieszkańców... nie pomaga.

Jotem.

Celem ruchu spółdzielczego jest dobro ludności.

W 1946

Oczki nie są oczkami

Mieszkańcy Mokołowa niemal codziennie wymawiają nazwy ulic Madańskiego czy Narbutta, w śródmieściu bardzo często mówi się o ulicy Oczki, czy placu Zawiszy. Ulice i place znany doskonale, niewielu jednak warszawiaków wie, kim byli ludzie, których nazwiskami je nazwano, co robili, kiedy żyli.

Który z mieszkańców Warszawy wie na przykład, że nazwa ulicy Oczki pochodzi nie od oczu, ale wspomina Wojciecha Oczka, znakomitego lekarza i nadwornego medyka... króla Zygmunta III Wazy?

Plac Zawiszy natomiast nazwano tak wcale nie dlatego, by — jak do-

myślają się niektórzy — uczcić sławnego rycerza z czasów Jagielly. Zawiszę Czarnego, na którego słowo można było liczyć niezawodnie, ale by złożyć hołd innemu Zawiszy, powstańcowi 1831 r., który usiłował wznowić walkę przeciw carekłej Rosji w r. 1833. Dwudziestopięcioletnie powstanie schwyłano i powieszono w wylotu al. Jerozolimskiej.

Powstańcem 1831 r. był również Narbut, walczący na Litwie na czele tysięcy swoich ludzi. Nazwisko Madalińskiego łączy się natomiast z historią dawniejszą. Madaliński był konfederatem barakim, który rzucił, jako pierwszy, myśl insurekcji 1794 r., nazwanej później kościuszkowską.

„RYŻA ŚMIERĆ” (NOWELA)

Takiej mordy jaką miał Frank, w całej Warszawie drugiej chyba nie było. Przez jej środek od ucha do ucha biegła głęboka, szarna, przechodząca przez wągi i rozdziałająca je na cztery, zupełnie prawie odrębne części, ukazujące obrabiane żęby.

Znamy u nasady nos układał się obrzydliwym bryłą mięsa z łowej strony twarzy. Jedno oko wieczną zapuchnięte i niepokojące spoglądało na świat suwetnie, bez wyraźnego drugie za to okragła, szeroko otwarte, było białe i apetytne, zdające się przewracać człowieka na którego spoglądało do samego dna kieszeni i portfela.

Frank miał najwspanialszy tatuaż w stolicy. Na piersiach rozciągał się ogromny, dwukolorowy okret z szereko rozpostartym żagle, na lewym ramieniu wiał się w przedziwnych spłotach niebiesko-czerwony wąż, dzierżący w paszczce ośmiornicę krwawą, a z przodu, przebiegała i skrzyżowana z nią kowadła. Tuż nad nim widniała naga, potworu brzydka, dziękczynna, opłocyna przez węża młoteczki, rozciągnięta, świątobliwa głowa do jej obramowania łona. Prawe przedramię pokryte było masą, scenek rodzajowych, przedstawiających erotyczne, wykonywane starannie, w trzech kolorach. Uda, brzuch i pośladki pokrywało całe bogactwo wzorów, wzorów, alegorycznych postaci ludzkich głów i członków.

Rece Franka przypominały dwa ogromne, kowalskie młoty. Każdy palec wyglądał jak mała maczuga, zakończona okrągłą galką, zdolną zmiażdżyć każdy nasuwający się pod jej działaniem obiekt.

Poznałem go w celi „Świętobowitczy” na Pawłaku.

Oczy zamknęły się za mną, zmierzwiły małe, niskie, zaopatrzone „Judaszem” drzwi i gdy oczy moje oswoiły się z penitencją w piwnicy półmroku, zobaczyłem go w całej okazałości. Stał na środku celi nagi, ogromny i muskularny, wydierając ciasto jakimiś suchymi, pływającymi, którymi wlewał na dół, z tutejszą stojącą koło śmierdzącego „kubła”.

Przywitał mnie, rozciągając głębokim besem: — Serwus, kolega.

Zamknął jednak natychmiast postrachony w swej czynności.

Zaczętem rozglądać się wokół, szusząc między moimi ramionami. Wskazał mi ruchem głowy ciemny kątek celi i mruknął: — Tam się kolega ukrył. Ze słoma trochę zgubił i śmieszki — że schodził, przywieszając się przedko.

Z obrzydzeniem, graniczącym niemal ze strachem, siedział na przegniętym barłogu.

Byliśmy w celi same.

W kątach celi stała jakaś niemożliwa, lecz wyrozumiała wszystkim, zmysłami obłąka. Było to coś niezłaznego, zupełnie od panującego tutaj brudu, szarego, suchawego, cuchnącego kłosa, i czoszczących w barłogu robaków, fałszywych bezczelnie po ścianach, plaskach i stonog — coś, co waleśno się po ciemnych zakamarkach, krążyło nieustannie pod niskim sufitem, spływało z zasnutego palącym okna i warowało pod drzwiami jak zły, podstępny pisk, gotowy znowu się kabłok chwycić na człowieka, zdusić go, zbezczeszczyć i nawpół umarłego ze strachu i obrzydliwości pozostawić przy życiu.

Frank wciągnął na siebie ubranie i stał przy mnie. Świdrował mnie swoim okiem na wylot.

— Masz kolega co zapalić? Pół życia oddam za jednego sztachla.

Wyciągnąłem z za podszewki ukrytego starannie papierosa.

— Ogień masz? — zapytałem z kole. Wstał i zaczął gmerać u parapetu okna. Wycofał się po chwili i ukrył ją jedną zapałką i kawałek pudełka. Rozłapał ją pazurami na cztery części i schował wszystko w poprzek ułoków.

Paliliśmy naprzemiennie, pusząc się ośrodkiem dym wzdłuż ściany ku oknu. I Frank rozgadał się nagle. Złapał go na Wolskiej, kiedy szedł z „roboty” z dwoma kolegami. Jeden z tych kolegów był nawet w niemieckim mundurze. Nic nie pomogło. Nakrył ich z niemiecka, podłedział niepotrzebnie prawie samochodem koło chłodni. Towarzystwo nie zdążyło nawet krzyknąć, bo Niemcy obokoczyli ich ze wszystkich stron, każąc podnieść ręce do góry.

— Wróciliśmy właśnie po zrobieniu Wszystko zabrali. Jednego koleżkę, który chciał uciekać, postawili w brzozy. Lety teraz w szpitalu na Pawłaku. Nie wiadomo, czy się z tego wyżyje. Zresztą lepiej żeby i nie wyszedł na morzenie.

Badali mnie już ze trzy razy „w kmy minale”. Teraz złapałem „kroć”, bode miał przez kilka dni spokój.

Pytała się ciągle, gdzie była nasza „melina”. Dałem im fałszywe adresy. Następnym razem znowu będą łupić. Ciągłe dopytują się o Żyda, którego „zrobiliśmy” przed kilku tygodniami i którego zabraliśmy brylanty. Nie chodzi im o niego, tylko o miejsce, gdzie schował jego cacka.

Pod wieczór tego dnia wepchnęto nam do celi jeszcze jednego „świeżobowitza”. Był to tegi wielki otopak, którego złapano pod Gamwołnem na

„mokrej roboty” przy robieniu jakiegos diwion. Miał okropnie zmasakrowaną twarz i plecy. Od razu rzucił się Frankowi na szyję i zaczął się ścisnąć, dopytując o swoje przejścia.

Przez szereg dni przebywałem teraz we trojce, smarując się na przemian rozżutym starci i kwasu solnego.

Straciłem ich potem z oczu na długie tygodnie.

Franka spotkałem dopiero w 1944 r. w obozie w Buchenwaldzie. Na pastak, ponad numerem miał przyszyty czemymy trójkąt — polityczny.

Siedział na środku drogi nad kupą polupanych kamieni i płakał.

Było coś potwornie rozczulającego w jego okropnej twarzy norycznego opryska zalanego łzami. Zdjęto go przed chwilą, jak się dowiedziałem ze słupka na który został skazany za o-pieszałost w pracy.

Dowiedziałem się, na którym jest bloku i po apelu poszedłem go odwiedzić. Losy jego były takie jak nasze. Przez Oświęcim, Oranienburg, kamienipolny w Gusen, przywodził wstąpił. Przez jakiś czas był „capi”, gral potem w obozowej orkiestrze na skrzypcach. (Frank, jako wojskowy, nauczył się grać w pulku). W tym ostatnim okresie był najczulszym człowiekiem w obozie. Miał skrzypce, na których mógł wypowiedzieć wszystko co czuł i do czego tęsknił. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego stał się więźniem politycznym. Ot zwoyżniali, dali czerwoną „winkiel” i tak pozostali.

Kiedy całą orkiestrę za jakieś blacie przewrócili odesłano do karnel kompanii. Frank załamał się. Zaczęły spadać na niego ciagle niezasłużone kary, stracił rezon i upet i zagubił gdzieś zupełnie swoją twardość, która utrzymywała go na powierzchni.

W parę tygodni potem zobaczyłem Franka raz jeszcze podczas generalnego przeglądu lekarskiego na placu apblowim.

Miał drobny deszcz, a my oczekaliśmy nago, drżąc z zimna na dworze, oczekując na przyjazd „Lagerarza”. Zjawili się po dwóch godzinach. Zalechał przed bramą samochodem.

Nie był sam. Kolo niego szła drobny krocikiem mała, zgrabna kobieta. Z daleka widać było czerwono-zielone grube włosy, wynikające się spod tyrolskiego kapelusza.

Razem z tą parą wśliznęło się do obozu przerażenie. Wzdął szeregow przeleciał szepot: Lagerarz! a żona... Nadchodzi „ryża śmierć”.

A ona szła wzdłuż szeregow rozszniana i rozszczębiotana, szukając wśród stojących nago międzyz kogoś.

Wzrok jej padł na stojącego z brzozy Franka. Zatrzymała się przez chwilę i z zaciekawieniem na jego atletycznym, pokrytym rysunkami torsie.

Wskazała go mowoi nieznacznym, wymownym ruchem głowy i przeszła dalej. A Lagerarz zanotował tylko w notesie numer więźnia i wyszedł z nią.

Tego dnia straciłem Franka już bezkownie z oczu. Zabrał go na „re-wir” i wszelki śluch o nim zaginął.

Dopiero teraz...

Było to parę dni temu. Zaszedłem w jakiejś sprawie do lokalu „Związków Wiedzi”. Politycznych Niemieckich Wiedzi i Obozów Koncentracyjnych.

Wśród listów do mnie spuszczylem jeden z Buchenwaldu, który zwrócił moją uwagę swoimi rozmiarami. Kiedy wzięłem go do ręki, wydał mi się jakiś nienaturalnie ciężki.

Rozemwałem kopertę i krzyknąłem głośno.

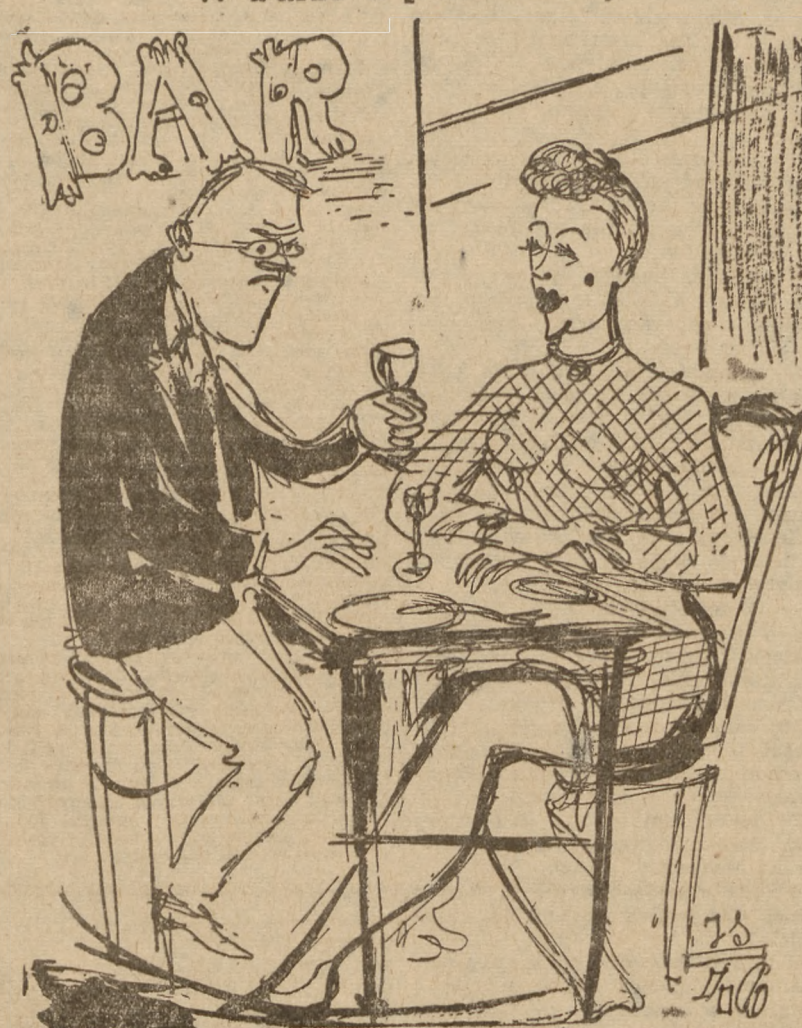
Wypadł z niej wielki biało-cielisty kwadrat, na środku którego widniał rysunek przedstawiający okret z rozpiętymi żaglami na wzburzonej morzu. Zaczętem oglądać ten dziwny przedmiot uważnie. Był to wielki płat wyprawionej przez Niemców, ludzkiej tathowanej skóry, przeznaczonej na wyroby galanterijne.

Poznałem skórę z pierś mogo towarzysza z celi „Świętobowitczy” na Pawłaku.

Andrzej Kobylecki



W barze u pani Dziuby



— Aah! wyjechać, uciec stąd jak najprędzej. — Dlaczego w takim razie dotychczas pan nie wyjechał? — Wyjechałbym, ale jak wyjechać te kilkanaście milionów, które sobie w dwa lata uzbierałem?

Komisja dwunastu autorów pracuje

Komisja Dwunastu Autorów, powołana na podstawie dekretu z dnia 9.4. b. r. o zawieszeniu umów wydawniczych, dotyczących twórczości 12 autorów (Dygasińskiego, Jeża, Konopnickiej, Orzeszkowej, Prusa, Reymonta, Sienkiewicza, Struga, Witkiewicza (ojca), Wyspiańskiego, Zapolskiej i Żeromskiego) otrzymała dotychczas od instytucji i firm wydawniczych z całego kraju 289 zgłoszeń na wydanie 184 utworów, autorów objętych dekretem.

Na pierwszych swych posiedzeniach komisja przydzieliła wydawcom 30 utworów w tej liczbie 22 utwory dla celów lektury szkolnej. Wśród dzieł tych figurują m. in. Sienkiewicz — „Krzyżacy”, „Trylogia”, „Quo Vadis”, „W pustyni i w puszczy”, Prusa — „Lalka”, „Faraon”, dzieła Orzeszkowej, Jeża, Zapolskiej i Witkiewicza.

Według dekretu, opłaty uiszczone z tytułu praw wydawniczych przypadają na rzecz osób, uprawnionych do dziedziczenia po danym pisarzu. W braku tych osób minister kultury i sztuki przekazuje uzyskane sumy w całości na cele popierania twórczości literackiej.

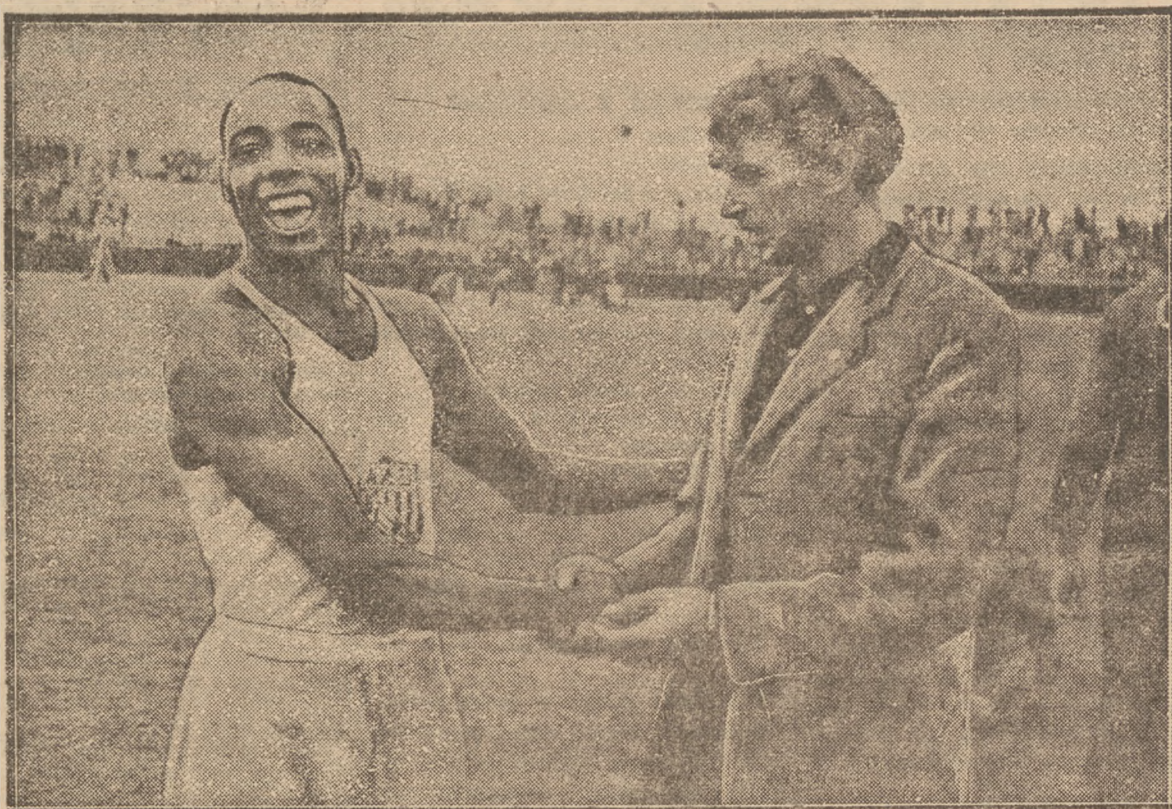
Redaktor Naczelny: Stanisław Strumph Wojtkiewicz. Redakcja: Warszawa, Marszałkowska 3/5. Telefon 85-046. Administracja: Warszawa, Wilejska 19, pok. 22, tel. 85-794, czynna od g. 8-15.30, w soboty w g. od 8-15.30. Redaktor przyjmuje w godz. 12-13. Adres tel.: Warszawa — „Wieczór”. CENNIK OGŁOSZEŃ: Ogłoszenia w tekście po zł. 40.— za 1 m/m szerokości szpalty. W numerach świątecznych dopłata 25%. Za terminowy druk ogłoszeń administracja nie odpowiada. B-40010. Wydawca: Spółdzielnia wydawnicza „Czytelnik”. Odpowiedzialna za pismo KOLEGIUM Redakcyjne. Rękopisów nadających się do druku nie zwraca się. Oddział w drukarni Nr 2 Spółdzielni „Czytelnik”. W-wa, ul. Marszałkowska 3/5.

Po smutnym końcu Jess Owensa, który jak mówią (Walasiewiczówna również) uganiał się jeszcze w Stanach z koniem wyścigowym, jako zawodowiec — zabrakło sprintera wielkiej klasy.

Henry Ewell, czarny jak szurwaka Murzyn, który na zdjęciu obok ścisła dłoń zawodowemu średniodystansowcowi Arne Andersonowi, wygrał mistrzostwo USA, ale nie reprezentuje tej klasy os Owens.

Podczas gdy ofiara czystki w Sztokholmie Anderson przyglądał się na zawodach w Pradze wynikiom z trybun — czarny Henry rozniósł sprinterów czeskich na 100 m. ustanawiając rekord bieźni Masaryka — 10,5 sek.

Wielki biegacz szwedzki, towarzysząc zwycięstwom na bieżni i kłesk życiowych (dyskwalifikacja) Gun-der Hägga, jeździ po stolicach europejskich. Czasem biega w pokazowym występie i dystansuje nawet sztafety na 1500 i 3000 mtr.



Stanisława Walasiewiczówna

W pogoni za rekordem



Moi trenerzy w Cleveland nie chcieli słyszeć o zaprzestaniu treningu. „Nonsens” — oznajmił Johnson jeden z największych mruków na świecie — będziesz trenować, wygrasz następną Olimpiadę, daję za to głowę! Namówił mnie żebym grała w koszykówkę, to bardzo dobra zaprawa. Wstąpiłam do Sokoła Polskiego, poznałam tam wiele sokolic Polek, z wieloma serdecznie zaprzyjaźniłam się. Powiedziano mi, że na jesieni tego roku (1928) odbędą się mistrzostwa amerykańskie Sokoła. Za częłam trenować. W wypadku dobrych wyników pojechałabym z sokolicami na mistrzostwa do Syrakuz. Następna perspektywa — to Wszechświatowski Złot Sokoła w Polsce. Zobaczę swój kraj rodzinny. Znowu skrzydła urosły mi u ramion. Tym razem — obiecywałam sobie — osiągnę to co zamierzam. Nakreśliłam sobie plan treningu i rozpocząłam pracę.

Dopiełam swego. Na jesiennych zawodach Sokoła wygrałam wszystkie konkurencje, biegi, skoki, rzuty. Zdobyłam nagrodę jako najlepsza zawodniczka. Wpisano mnie na listę kandydatek na wyjazd do Polski. Rozpoczęłam przygotowania do zlotu. Zbliżała się zima, czas trenowania na bieżni krytej, koszykówki, przesłałam specjalny dwutygodniowy obóz Sokoła.

Nadszedł dzień wyjazdu do Polski. Rodzice pożegnali mnie ze łzami. Miałam odwiedzić dziadków, w' lam dla nich skromne upominki. Należało wszystko zapamiętać, wsz. stko umieć powtórzyć. Przypominał mi o tysiącu drobnych, zapytał, pozdrowień, gu-bili się we wspomnieniach... Po-ciąg wiozący mnie do portu ruszył z peronu. Stali oboje z bezwładnie opuszczonymi rękami, zapłakani. Miałam ich obraz w duszy przez całą drogę do Gdyni.

Jedziemy do Polski. Nie tylko ja odczuwałam zniecierpliwienie, żeby jak najszybciej zobaczyć



Szechenowa i Walasiewiczówna

„kraj moich ojców”. Wiele z towarzyszących mi Sokolic było w takim położeniu jak ja. Niewiele z nich pamiętało kraj, większość znała go tylko ze słyszenia i z opowiadań rodziców. Nie mogłyśmy doczekać się chwili, gdy nareszcie zobaczymy polski ląd. Wreszcie odległość od brzegu zmniejszyła się na tyle, że gołym okiem można było dojrzeć skrawek ziemi. Był to Hel.

Z najwyższym zaciekawieniem przyglądałyśmy się temu tajemniczemu, jak się nam wydawało, kawałkowi ziemi. Na koniec wysiadłyśmy na ląd. Gdynia, Polska. Wszystko to było zupełnie inne niż myślałam i najzupełniej odmienne od Ameryki. Gdynia — to maleńka osada rybacka, ledwo można jej było dać miano miasteczka. Miniaturowa, pełna zieloności, taka skromna. Chatki rybackie wydawały mi się rycinami z bajek. Głód oglądania i zwiedzania kosztował mnie kilkadziesiąt pęcherzy, które obsypały mi stopy. Nie tylko mnie. Była to pamiętka po „kociach łbach”. Jedną z najbardziej dokuczliwych osobliwości, długo ka-zała nam o sobie pamiętać.

(Jutro dalszy ciąg pamiętni-ków Walasiewiczówny).

Kłopoty kapitana PZB

Za 2 tyg. mecz z Węgrami

13 października w Katowicach odbędzie się pierwsze po wojnie spotkanie międzynarodowe z Węgrami w bok-sie.

WIELKA PRZESZŁOŚĆ

Ostatni mecz z Madziarami rozegra-limy w roku 1939 w Poznaniu, zwycię-żając w wysokim stopniu 14:2. Wę-grzy nie istnieli na ringu poznańskim. Wielka klasa Koczyńskiego, Pisar-skiego, Czorka, Szymura świeciła wówczas jeden z największych trium-fów w dziejach polskiego boksu.

Czy dziś będziemy zdolni do powtó-rzenia sukcesu?

Klasa naszych pięściarzy nie jest tak wysoka jak przed wojną, ale obni-żyli również swe loty Węgrzy. Po wi-zycie bokserów Warty na Węgrzech i ostatniej gościnie Węgrów w Polsce, spodziewamy się nikłego zwycięstwa Polski.

Zresztą dziś jest jeszcze przedwcze-snie omawiać szanse meczu. Kapitan związkowy PZB Suszczyński, po tur-nieju praskim znajduje się w kłopotliwej sytuacji.

KONTUZJE I NADZIEJE

Koczyński jest kontuzjowany i nie wiadomo czy za dwa tygodnie zdolny będzie do walki.

Koziołek, w Pradze zdaje się zakon-czyć reprezentacyjną karierę. Obsa-dzenie wagi lekkiej jest sprawą bar-dzo trudną.

Leczekowski, w wadze piórkowej jest tylko materiałem na boksera.

Niewądzil, do reprezentacji się nie nadaje. Bokser może przegrać przez k. o. i nie sprawi to tak przykrego wrażenia jak uciekanie po ringu, re-kładowanie ciosów nieprawidłowych (przeciwnika) i wstrząsanie głową po ciosach, które powodują wyliczenie, a później radosne zejście z ringu, że „to już się skończyło”.

NOWA GWIAZDA

Niezachwiana jest tylko pozycja Grzywacza w wadze piórkowej i Szy-mura w półciężkiej. Mistrzowie słowianscy walczą będą w reprezentacji przeciw Węgom na pewno.

Również Olejnik jest najlepszy w swej wadze.

W wadze muszej, najprawdopodob-niej nastąpi eksperyment z Bazar-nikiem. Ślązak, nie jest zły, chyba że prze-gra ze Stasiakiem zdecydowanie jeszcze przed meczem z Węgrami w ramach spotkania Śląsk — Łódź.

W wadze piórkowej kandydatem

jest „bombardier” gdański Antkiewicz.

W lekkiej nie widać nikogo. W średniej walczą chyba będzie Nowa-ra. Koczyński, gdyby wyzdrowiał, przesunięty będzie do półciężkiej, a Szymura do ciężkiej. W innym wy-padku do reprezentacji dostanie się Figiel ze Śląska.

Wątpimy, by dwa tygodnie dzielące nas od meczu przyniosły tak wielkie zmiany w naszym boksie, i że kłopoty kapitana Suszczyńskiego znikną.

Z wizytą u Koźelucha

Stary zawodnik nie rozstaje się z rakieta

Praga, we wrześniu.

Poszukiwanie sprzętu sportowego jest jednym z najcięższych zadań jakie spada na wyjeżdżających zagranicę sportowców polskich.

W Pradze rozpoczęła się wędrówka po sklepach sportowych. Obuwie na kartki, inne rzeczy są nawet u nas tanie.

Wchodzimy do sklepu Karola Koźe-lucha, znanego tenisisty i b. trenera Polaków.

Polka pokonała Czeszki

Pod takim tytułem sportowe pismo czeskie „Nase Cesta” omawia ostatnie spotkanie międzynarodowe Polska — Czechosłowacja w lekkoatletyce ko-biecej.

— Nie możemy powiedzieć, że nie odnieśliśmy sukcesów. Polska przysłała najsilniejszą reprezentację z rekor-dzistką Walasiewiczówną, olimpijkami Wajesówną i Kwaśniewską, które nie licząc się do najmłodszych osiągały wy-niki światowe.

Przeciw tym lekkoatletkom, walczy-la nasza młoda drużyna, z których większość debiutowała na arenie mię-dzynarodowej.

Jesteśmy przeświadczeni, że rewan-żowe spotkanie na początku lata 1947 przyniesie zwycięstwo nad Polską.

Na polskie pozdrowienie odpowiada zupełnie czysto:

— Dzień dobry.

— Czy można dostać u pana szcze-ki dla bokserów?

— Jedźcie parować do New Yorku, u nas nie dostaniecie tej rzeczy.

Karol Koźeluch z ciekawością pyta o losy polskich tenisistów.

— Co słychać z Tłoczyńskim?

— Gra w Anglii. Nosi się z zami-arem powrotu do kraju.

— A Hebda dobrze jeszcze gra?

— Młodzi dochodzą do głosu. Heb-da ma już na karku „40”.

Koźeluch uśmiecha się. Ja jestem trochę starszy i też jeszcze gram.

— Tenis w Polsce jakoś nie może się rozrzucać. A przecież, gdy byłem w Polsce, mieliśmy dobry materiał.

Nie chcemy dyskutować o przyczy-nach słabości polskiego tenisa. Zresz-tą Koźeluch chętniej mówiłby o tenisie czeskim.

— Drobny jest dobrym graczem. Je-go tegoroczne sukcesy są owocem pra-cowitej kariery.

Karol Koźeluch, siedząc w swym skle-pie sportowym wśród kostiumów, dy-sków, oszczepów i nart, nie zapomina o swej najbardziej ulubionej dziedzi-nie — tenisie i z radością wspomina czasy, gdy był w Polsce.

Sien.

Dziś na Służewcu

GON.	Ogólny faworyt	Wyróżnia się pochodzeniem	Dobrze galopuje	Lubi tor ciężki	faworyt „Włeczu”	ew, fuks
1	Jastarnia III				Jastarnia III	Daccia
2	Souvenir	Bojar			Toklo	
3	Chorążanka		Irrlehrer	Chorążanka	Fidelitas	
4	Galanteria	Storczyk	Nandu		Soblepan	Pantera
5	St. Leszno			Tallman	Wleher IV	Marsz
6	Fidelitas				Parada III	Monte Carl
7	Nemir				Forta	Ferha
8	Tobruk II	Tobruk II			Rarissima	

OSTATNIA MODA



Chłody jesienne dają się już we znaki. Paryżanki oszczędzają ubierać się w cieple, kreowane płaszczyki. Ostatnią nowością na dni minione jest komplet składający się z kostiumu z futrem i kurtki z tego samego materiału.

JAN CYNJAN



Jak sprzedam kolumnę Dymonta

— Słuchaj... — wróciłem się do niej z całą powagą, na jaką mnie było stać — ile żądasz za dyskrete? Co chcesz mieć za to, że nie jej nie powiesz o moim wczorajszym wieczorze?

— Jak ty nie znasz paryżanek — wybuchnęła z pogardą. — Gdybyś mi się podobał, nie oddawałabym jej ciebie. Skoro jednak tylko o niej myślisz, idź! Nie myśl tylko, że mnie można kupić. Ja i tak nie jej nie powiem. Robię jej z ciebie prezent i nie chcę tego prezentu obryzwać. Tylko...

Tu obejrzała mnie krytycznym wzrokiem od stóp do głowy.

— Jak ty wyglądasz? — zapytała nagle. — Przecież tak nie możesz się jej pokazać!

Spojrzałem uważnie na swoją garderobę, która była w zupełnym porządku i odpariem zdziwiony:

— Dlaczego?

— Przecież ona jest także paryżanką, a ty na kilometr zaleciłeś zagranicę! Będzie się wstydzila iść przez miasto. Może w Polsce nosi się takie spodnie i takie marynarki, ale u nas — to moda z przed pięciu lat. Musisz się przede wszystkim ubrać.

Zgnębiony tym oświadczeniem, poczułem się nagle ubogim krewnym i zapytałem.

— Pomógłbyś mi w tym?

— No... owszem. Nie wyglądasz na takiego, którym trzeba się opiekować bezinteresownie. Na razie pójdziemy do krawcy, który cię ubierze, potem pójdę sama poszukać twojej najdroższej i spotkamy się tutaj o siódmej wieczorem. Umówię się z nią na ósmą.

W rękach tej kobiety czułem się taki mały i nieważny, że zgadzałem się na wszystko. Przykro mi było tylko, że Amelle zobaczę dopiero o ósmej. Cóż jednak mogłem na to poradzić?

U krawcy załatwił mi sprawę bardzo szybko. Znalazł dla mnie gotowy garnitur i wyszliśmy, aby się ostatecznie umówić na wieczór.

— Wstąp jeszcze tutaj i weź dla

niej coś ładnego — rzekła Odette, wskazując wielki magazyn jubilerski.

Nie kazałem sobie dwa razy tego powtarzać. W magazynie znalazła się ładna kolia perła za sumę stuś tam tysięcy franków. Kupiłem.

Kiedyś się zaś rozstał, wróciłem tu jeszcze raz i nabyłem ładną i drogą broszkę dla Odette, jako podziękowa-nie za wszystko, co dla mnie zrobiła.

Była godzina trzecia po południu. Wstąpiłem do bistro, aby się pokrzepić, potem zaś udałem się na wiozącą po Paryżu, by jakoś zabić czas, który włóki się niesłychanie wolno.

Idąc ulicą za ulicą, bez żadnego celu, bezmyślnie, stanąłem nagle jak wryty.

Oto na wystawie damskiej galante-rii ujrzałem... moje hafty!

Tak! To one! Te „bonnie” to robo-ta Staśki, te kolorowe richelleu du-bała Ewa, a te zakoplańskie, oczywi-ście pani Józefa, która nie robiła ni-gdy innych, niż ludowe!

Przez chwilę wydało mi się, że ktoś przeniósł mnie nagle w świat mego zakładu hafciarskiego, w ten okres życia, kiedy jeszcze nie znałem Ame-lie i miałem zupełnie inne ambicje, inne marzenia kierowały każdym mo-im krokiem, kiedy byłem zupełnie in-nym człowiekiem.

Czy dobrze postąpiłem, niszcząc ich i swoją pracę i dorobek?

Wszystkie znalazły się dziś na pe-wno na bruku. Może tylko jedna pani Józefa poradziła sobie beze mnie, bo i projekty sama już rysowała, i wię-ciej myślała w nich inwencji, niż wszyst-kie hafciarki pozostałe. Ale i ona nie potrafiła chyba zorganizować za-kladu takiego, jak byi krakowski...

Czy zrobiłem mądrze?

Nie umiałem sobie na to pytanie odpowiedzieć, ale nagle poczułem ta-ki żal-za dawną, tak już strasznie od-daloną przeszłością, że oddałbym wszystko, by tamte czasy mogły po-wrócić...

Wszystko?

Nie!

(Dalszy ciąg jutro)